

ANDRZEJ RAKOWSKI

O pewnych problemach urynkowienia edukacji i nauki w Polsce

Przyjęta przez uprzedni rząd Strategia rozwoju edukacji 2007-13 stanowiła pierwszą odważną próbę rozprawienia się z fikcją hasła o istnieniu w Polsce zasady bezpłatności edukacji. Hasło to, z dumą wpisane w tekst Konstytucji, okazało się niemożliwe do spełnienia przez budżet, natomiast podjęta w związku z tym decyzja o częściowym urynkowieniu wyższej edukacji w formie płatnych studiów zaocznych i wieczorowych w uczelniach publicznych doprowadziła do sytuacji dość kuriozalnej. Jak już o tym wielokrotnie pisano, zasadą bezpłatności studiów objęta jest obecnie mniej niż połowa studiujących i to akurat nie ta część, której z tytułu mniejszej zamożności pomoc państwa byłaby szczególnie potrzebna. Zdaniem byłego Ministerstwa Edukacji Narodowej i Sportu prawidłowym rozwiązaniem będzie tu wprowadzenie powszechnej odpłatności za studia i wspomaganie osób niezamożnych odpowiednimi dotacjami. Należy jednocześnie podkreślić, że w tym akurat punkcie nie chodzi o istotną zmianę nakładów budżetowych na edukację, która niezależnie od opłat ściąganych od studentów musi się domagać lepszego finansowania przez państwo. Mowa wyłącznie o tym, by za studia płacili ci, których na to stać. Wprowadzenie omawianych zmian wymagałoby dokonania zmian w tekście Konstytucji.

Przypomina się toczona przed laty dyskusja telewizyjna dwóch kolejnych ministrów resortu edukacji, Jerzego Wiatra i Mirosława Handke. W opinii tych przedstawicieli dwóch konkurencyjnych opcji politycznych nie było wątpliwości co do potrzeby dokonania w systemie opłat za studia radykalnych zmian; czyli

że sprawa znana była od dawna i jednolicie oceniana. Pojawia się zatem pytanie, dlaczego do sprawy tak ważnej przystępuje się z tak znacznym opóźnieniem i czemu odważył się na to dopiero rząd, który właśnie szykował się do odejścia? Odpowiedź wydaje się być zawarta w samym pytaniu. Uwolnienie od troski o własne przetrwanie pozwala na luksus bezstronności i wspomaga jasność myślenia. Owa sytuacja umożliwiła też poprzedniemu rządowi spokojne reagowanie na natychmiast wzbudzoną, zdumiewająco zgodną reakcją negatywną przedstawicieli różnych stron sceny politycznej. Spróbujmy przyjrzeć się argumentom wytaczanym przeciw wspomnianej strategii edukacyjnej niezależnie od tego, kto je formułował. Ograniczmy się przy tym wyłącznie do obszaru szkolnictwa wyższego, za to eksponując problem związanej z nim bezpośrednio nauki.

Argument pierwszy dotyczy fundamentalnej kwestii ideologicznej, a mianowicie tego, czy nasze przeobrażające się państwo winno w sferze edukacji pozostać państwem opiekuńczym. Teza głosząca, że tak, będąca jednym z hasła lewicy, doprowadziła tu w zetknięciu z praktyką do ewidentnej społecznej niesprawiedliwości. Teza ta zaczyna jednak obecnie mieć na swą obronę nowy, poważny argument. Wobec zbliżającego się niżu demograficznego już za kilka lat liczba osób ubiegających się o przyjęcie na studia wyższe nie będzie większa niż liczba miejsc na obecnych studiach dziennych, czyli bezpłatnych. Należałoby zatem zacisnąć zęby, zamknąć oczy na to, że przez ileś tam lat nasz budżet będzie wspomagał dzieci bogatszych rodziców, nie będąc w stanie dopomóc tym uboższym, i doczekać

chwili, gdy dobrze brzmiące hasło ideologiczne dozna swego spełnienia.

Argument drugi (wymieńmy na razie tylko dwa) ogranicza się do kwestii przyziemnych, przeto, jak to zwykle bywa, lepiej nadających się do dyskusowania. Zarzucano rządowej strategii edukacyjnej, że wysuwając poważne i brzemienne w skutki propozycje, nie przedstawiała programu niezbędnych działań przygotowawczo-osłonowych i nie była oparta na dostatecznych gruntownych wyliczeniach skutków. Ta krytyka, chyba poważnie uzasadniona, powinna była jednak odnosić się nie tylko do rządu profesora Belki, lecz co najmniej do kilku poprzednich ekip rządowych, a również i do kolejnych składów parlamentu, które sprawy szkolnictwa wyższego i nauki traktowały bez dostatecznego uwzględniania ich strategicznej roli.

Wyłania się zatem potrzeba rozszerzenia zakresu postawionego wcześniej pytania i zastanowienia się, dlaczego przez wiele lat władze godziły się na istnienie w uczelniach państwowych systemu ewidentnie ułomnego pod względem prawnym i wątpliwego z punktu widzenia etyki. Zjawisko to należy jednak potraktować w odniesieniu do całości znacznie większego problemu, którego fragment stanowi. Tym problemem jest proces urynkwienia polskiej edukacji akademickiej, jego zupełnie wyjątkowa specyfika i problemy, jakie stwarza dla kondycji polskiej nauki.

Procesy rynkowe, czyli traktowanie wiedzy jako towaru, za który trzeba płacić, rozpoczęły się w Polsce w sytuacji nagłego, znaczącego wzrostu zainteresowania młodzieży możliwościami zdobycia wyższego wykształcenia, przy jednoczesnej niechęci (niemożności?) rządu do przeznaczania większych kwot budżetowych na sferę edukacji. Proces urynkwienia potoczył się niezwykle korzystnie dla władz państwowych, wyznających zasadę oszczędzania na nauce i edukacji. Nie tylko okazało się możliwe, by niemal bez ponoszenia kosztów budżetowych z wielokrotniej liczbę studiującej młodzieży, lecz jednocześnie w ramach tego samego procesu udało się w znacz-

nym stopniu spacyfikować środowisko akademickie, słusznie domagające się podniesienia zbyt niskich wynagrodzeń. Sytuacja ta, choć tak wygodna dla rządu, wzbudzać mogła jednak poważne wątpliwości. Przyjrzyjmy się nieco dokładniej działającym w niej mechanizmom.

System studiów płatnych w uczelniach publicznych stworzono w taki sposób, by przy najmniej formalnie nie naruszyć litery Konstytucji (choć naruszając jej myśl przewodnią). Stworzono go wbrew wymogom sprawiedliwości społecznej wobec studentów, lecz zarazem w taki sposób, że dzięki specyficznej strukturze (silne, a przy tym niejako "mechaniczne" oddzielenie od studiów dziennych) możliwe było wykorzystanie tego systemu dla zaspokojenia żądań płacowych części kadry akademickiej.

Podobną metodę pacyfikacji środowiska akademickiego, na większą skalę, obrażając tym razem już nie ducha Konstytucji, lecz honorowany na całym świecie model pracownika naukowo-dydaktycznego wyższej uczelni, zastosowano łącznie w odniesieniu do polskich szkół wyższych publicznych i niepublicznych. Wykorzystując odpowiednie przemilczenie sprawy w ustawach o szkolnictwie wyższym, dopuszczono do powszechnego angażowania się nauczycieli akademickich na kilku etatach, w różnych uczelniach i instytutach naukowych. Wystąpiła tu budująca zgodność wszystkich zainteresowanych stron: uczonych, mogących wreszcie zaspokoić odpowiadające ich statusowi potrzeby finansowe, władzy państwowej, nie niepokojonej ustawicznymi pretensjami ze strony nauki i szkolnictwa, bogatszej młodzieży, mogącej swobodnie wybierać wśród licznych, liberalnych co do kryteriów przyjęć ofert uczelni prywatnych, a wreszcie menedżerów i właścicieli tych uczelni. Uczelni, których liczba zaczęła rosnać w zdumiewającym tempie.

Jak wspomniano, wszystkie strony biorące udział w tak przeprowadzonym procesie urynkwienia, to jego beneficjenci; wypada zatem zapytać, kto tu był płatnikiem, czyli raczej kto

na tym tracił. Niestety, traciła niewątpliwie jakość nauki i nauczania, a niekiedy jeszcze coś, czego nie umiemy zmierzyć, a co dałoby się określić jako honor polskiego naukowca.

Można stwierdzić na przykład, że w ewidentny sposób zlekceważono tu i wręcz ośmieszono pierwotną myśl ustawodawcy, który w kolejnych wersjach ustaw o szkolnictwie wyższym wymagał, aby dla uzyskania przez daną jednostkę organizacyjną praw do uruchamiania kierunków studiów, czy przeprowadzania przewodów naukowych, zatrudniano na pełnym etacie określoną liczbę nauczycieli akademickich, co najmniej ze stopniem doktora habilitowanego. Myśl wyrażona w ustawach, dotycząca wymogu zatrudnienia na całym etacie, była całkowicie jasna. Chodziło nie tylko o to, by odpowiednio liczne grono wyspecjalizowanych naukowców zajmowało się kształceniem, czy uczestniczyło w egzaminach i przewodach na stopnie naukowe, gdyż do tego celu wystarczyłoby angażować odpowiednio kwalifikowanych pracowników na umowy czy na części etatu. Celem ustawowego wymogu pełnoetatowego, czyli pełnego zatrudnienia odpowiednio licznej grupy wysoko kwalifikowanych pracowników było to, aby w danym ośrodku zapewniony był nie tylko wysoki poziom dydaktyki, lecz przede wszystkim, by powstał tam ośrodek wyspecjalizowanych badań naukowych o odpowiednio wysokiej randze. Taka symbioza dydaktyki z nauką jest kwintesencją kształcenia na poziomie akademickim i tym, co odróżnia kształcenie akademickie od kształcenia w gimnazjach i liceach.

Brak właściwych dookreśleń w tekście ustaw o szkolnictwie wyższym oraz stopniowe uświadomienie sobie możliwości wykorzystania tego faktu przez władze poszczególnych szkół i część środowisk akademickich spowodowały lawinowy wzrost wieloetatowego zatrudniania się profesorów i doktorów habilitowanych w różnych uczelniach i instytutach naukowych. W myśl obowiązującego na całym świecie obyczaju akademickiego, osoba zatrudniająca się pełnoetatowo na uniwersytecie

w charakterze profesora deklaruje tym samym, iż angażuje tam swój pełny potencjał naukowy. W Polsce, tymczasem, łamanie owego obyczaju zaczęło sięgać rozmiarów kuriozalnych. Jak wiadomo z dobrze poinformowanych źródeł, rekordy sięgały tu liczby jednoczesnego zaangażowania się profesora w czterenaście (nie wszystkie etaty pełne) czy w ośmiu (wszystkie etaty pełne) jednostkach. Na wszelki wypadek statystyki wspomnianych zdarzeń nie prowadzono. Zjawisko to w skali kraju można określić jako swego rodzaju "cud mniemany", czyli cudowne i nagłe pomnożenie krajowego potencjału naukowego. W najnowszej ustawie Prawo o szkolnictwie wyższym zostało ono ograniczone przez dopuszczenie do jednoczesnego zatrudnienia się co najwyżej na dwóch uczelniach, konieczność określenia, który z etatów jest "pierwszy" i potrzebę uzyskania zgody kierownika pierwszej jednostki na dodatkowe zatrudnienie. Wciąż jednak daleko nam w tym zakresie do standardów obowiązujących w całym świecie akademickim, a zwłaszcza (czego nie wolno zapominać) w Europie.

Ilustracją tego, jak dalece w świadomości społecznej utrwaliło się poczucie normalności wyżej opisanej sytuacji może być fragment tekstu poselskiego projektu Prawa o szkolnictwie wyższym, złożonego na ręce marszałka Sejmu 31 marca 2004 roku. Projekt ten został przez Sejm odrzucony, ale przez dłuższy czas dostępny był w internecie. Czytamy tam na s. 65, co następuje: "...podstawowym obowiązkiem nauczyciela akademickiego jest praca dydaktyczna, realizowana w ramach pensum ...prawo do uprawiania nauki rozumiane jest jako prawo do ubiegania się o środki... Wpisanie w ustawę obowiązku pracy naukowej oznaczałoby obligatoryjne przydzielanie środków na badania, dzisiaj już nie praktykowane". Sformułowania te sugerują, że w myśl projektodawców jedynym realnym obowiązkiem zatrudnionego w pełnym wymiarze pracy profesora uniwersytetu jest odbycie tygodniowo kilku (6 do 7) godzin wykładów. W tych warunkach było oczywiście możliwe zatrudnienie

się na kilku etatach. Z tym, że zatrudnienie się na ośmiu było już raczej kłopotliwe...

Tak więc można stwierdzić, że panujący przez szereg lat optymistyczny pogląd na sytuację zaspokajania potrzeb wszystkich stron mających swój udział w polskiej wersji procesu urynkowania edukacji wyższej był złudny. Profesorowie zatrudnieni na kilku etatach przekształcili się z naukowców w wykładowców, studująca młodzież w wielu przypadkach otrzymywała edukację drugiego sortu, a rząd musi obecnie zdać sobie sprawę ze skutków osłabienia krajowego potencjału naukowego. Naprawa powstałych szkód będzie zapewne wymagała poważnego wysiłku.

Po tych niewesołych spostrzeżeniach wypada wrócić do sprawy początkowej, którą było ogłoszenie przez rząd prof. Belki nowej strategii edukacyjnej. Wymieniłem poprzednio dwa rodzaje zarzutów o charakterze merytorycznym, wysuniętych przeciw rządowej propozycji. Obecnie pragnę zwrócić uwagę na zarzut trzeci, najsilniej eksponowany. Dotyczył on pozornie sprawy czysto taktycznej i głosił, że rząd mający przed sobą niewiele tygodni istnienia nie powinien był formułować propozycji działań, choćby nawet słusznych, które miałyby być realizowane przez następną ekipę rządzącą.

Pragnę wyrazić w tej sprawie pogląd zdecydowanie przeciwny. Trudno oczekiwać, by wspomniana propozycja „nowej strategii edukacyjnej” mogła znaleźć poważniejsze poparcie. Pamiętajmy bowiem, że dotychczasowe formy urynkowania wyższej edukacji, w których zaproponowała ona pewien niewielki wyłom, kształtowały się niejako naturalnie, jako wypadkowa optymalnego zaspokajania potrzeb współuczestniczących podmiotów. Pamiętajmy jednak również o płatkach tego procesu urynkowania, którymi stały się nie tylko jakość edukacji i poziom uprawianej nauki, lecz również standardy moralne obowiązujące w środowisku akademickim. Jestem zdania, że jeśli czegoś szczególnie potrzeba dla uzdrowienia omawianych obszarów, to otwartej dys-

kusji, nie uznającej tematów tabu. Fakt, że zaczęła się ona w mało sprzyjającym okresie kampanii wyborczej, jest mimo to korzystniejszy, niż gdyby miała się zacząć znacznie później lub nie miała zacząć wcale. Na razie zresztą dyskusja ta dotyczyła jedynie wierzchołka góry lodowej, której opisania w całości powinniśmy domagać się obecnie. To nie jest żart, że resorty odpowiedzialne za poziom nauki i edukacji nie są w stanie przedstawić statystyk za ubiegłe lata dotyczących wieloetatowości pracowników naukowych (innymi słowy, że nie orientowały się w realnym stanie potencjału polskiej nauki). Na przeszkodzie stała tu formalnie zasada ochrony danych osobowych, co nie przeszkadza domniemywać, że istotne przyczyny były raczej głębsze. Te głębsze przyczyny milczenia nad zjawiskami szkodliwymi dla przyszłości polskiej nauki należy obecnie tropić i ujawniać.

Istnieje smutny paradoks, że żywiołowe urynkowanie polskiej nauki i edukacji, wynikające ze zbyt daleko posuniętych restrykcji budżetowych, doprowadziło do wytworzenia się patologii, które z kolei, komentowane w nieformalnych dyskusjach środowisk rządowych i parlamentarnych służą argumentami dla tych wszystkich, którzy sprzeciwiają się dofinansowywaniu nauki. Którzy widzą w niej marnotrawny system i dobry teren do poczynienia dalszych oszczędności budżetowych. Nie ma obecnie dla polskiej nauki i edukacji innej drogi, jak pełne i otwarte przyznanie się do istniejących nieprawidłowości i dążenie do usunięcia ich w jak najkrótszym czasie. Musi to być tym razem proces dokładnie przemyślany i szczegółowo zsynchronizowany z działaniami budżetowymi. Jest on możliwy jedynie pod warunkiem zasadniczej poprawy warunków finansowania nauki i poprawy uposażeń jej pracowników, co byłoby oczywiste przy uznaniu nauki i edukacji za obszar o znaczeniu strategicznym dla dalszego rozwoju kraju.